

Kronika tygodniowa.

Niniejsza kronika miała być ostatnią w maju. dobrze się też stało, iż do niej zmuszony byłam odłożyć opis, jak spędziłam Zielone Święta, co wprawdzie nie jest znowu niczem tak ciekawym, ale w każdym razie może kiedyś stanowić bardzo pożądany materiał dla historyka, zajmującego się badaniem stosunków w czasie obecnej wojny światowej i mojego biografa.

Zaczęłam ją pisać tydzień naprzód, ze względu na przypadającą w międzyczasie rocznicę Bożego Ciała, co przyspiesza pracę redakcyjną. Mielismy tak kani kularne wówczas upały, iż w jednej ręce trzymałem pióro, w drugiej zaś chustkę, a raczej ręcznik, by móc ocierać pot z czoła. Gdybym miał jeszcze trzecią rękę, zapisałbym ją, spędzałbym nią muchy, nrządzając sobie na mej łysinie ślizgawkę i nie sobie z tego nie robiące, że mi przeszkadza. A mamy w tym roku taką masę much, jak nigdy dotąd. Są zaś tak nieznosne i tak się każdemu dają we znaki, jak gdyby przeczuwały, że już nie długo skończy się ich panowanie, czyli, że tego roku lato już się kończy, choć się jeszcze *de facto* nie zaczęło. Niech się tylko święty Medard rozcni, a lubi on płakać zwykle przez całe dni czterdzieści, niech potem w ślady jego pójdą „Bracia śpiący” (początek lipca) a nie wyglądnijemy nawet z pod parasola, jak nadejdzie jesień, nasza piękna polska jesień, z dalszą serią deszczów, zimna i błota.

Powiadają ludzie, że przyjdzie mróz na psa, choć on sobie nic z tego nie robi, cały rok paradując we futrze. To samo, mam nadzieję, stanie się i muchom, ale jeszcze przed nastaniem mrozów. Grozi im skądinąd bardzo poważne niebezpieczeństwo, jak się bowiem dowiaduję, już w najbliższych dniach ma powstać Centrala, zajmująca się zakupem much w celach aprowizacyjnych. Dostarczać się jej ma muchy suszone, za które naturalnie zapłaci ustanowioną cenę maksymalną, zdaje mi się dwie korony za cetnar metryczny. Potem nastąpi równy i sprawiedliwy, jak zwykle, podział między wszystkie kraje monarchii, okazało się bowiem, że Galicya ma ich najwięcej. — W razie, gdyby w oznaczonym czasie nie dostarczono Centrali odpowiedniej ilości dobrowolnie, nastąpi przymusowa rekwizycja, przy użyciu najenergiczniejszych środków. Równocześnie pojawi się pouczenie, jak je przyrządzać, by ciało ludzkie mogło z nich odnieść jak największy pożytek. Mogł ongiś święty Jan, bawiąc w pokojowym czasie na pustyni, karmić się szarańczami, możemy i my, we wojennym, spróbować, czy mucha nie może zastąpić szarańczy.

Niema jednak złego, aby na gorsze nie wyszło. Wobec masowego łowienia much, należałoby się spodziewać, że będzie ich mniej, że nie będą więc mogły przeszkadzać kronikarzowi w jego zawodowej pracy, tymczasem bardzo łatwo stać się może, że, ze względu na spodziewane korzyści, znajdą się spekulanci, chcący i na tem zrobić dobry interes i rozpocząć sztuczną ich hodowlę na utrapienie łysków, najbardziej narażonych na prześladowanie ze strony tych skrzydlatych utrapieńców.

To samo, co muchy, czeka w swoim czasie karakony, stonogi (mają być podobno bardzo smaczne i pożywne, przyrządzone „na kwasno...”) i inny podobny drobiazg. Meszy i szczury, to już grubsza zwierzyna, której zresztą brak daje się już ogólnie odczuwać. Ko wie, czy nie zjedliśmy ich już w kiebasach, które nam tak smakowały. Ale dobrze im tak!... Zjadały one dotąd nam zapasy, tak mozolnie przygotowywane, teraz same stały się pastwą ludzkiej żarłoczności.

Jeśli w tym celu miała powstać także odpowiednia Centrala, gotów kronikarz starać się w niej o posadę, jeśli nie dyrektora, to bodaj jakiego radcy, by sobie bodaj w ten sposób egzystencję poprawić. — W Centrali „muszej” już podobno wszystkie płatne posady są obsadzone, a na honorowe nudy, jako nie przynoszące żadnego dochodu, nikt u nas dziś nie reflektuje.

To jednak muzyka dopiero przyszłości, a my nauczylismy się żyć teraźniejszością. Ponieważ ona jednakowoż bard o chuda, zeszlismy do roli przeżuwaczów i można śmiało powiedzieć, że bodaj jakiejś otuchy dodaje nam odświeżanie sobie wspomnień z przeszłości i nadzieja, że przecież nadejdą kiedyś czasy, iż wrócimy *in status quo ante*. Kiedy to jednak będzie, tego nikt powiedzieć nie umie, *ergo* i kronikarz nie myśli sobie nad tem łamać głowy.

Alle czas już dać spokój muchom i karakonom, z nimi zaś Centralom (stworzonym także na utrapienie nie tylko łysych, ale całej ludzkości, a nawet i czworonogów, dzięki im nie mających także co jeść...), a zabrać się do opisu, jak się spędziło Zielone Święta,

łatwo bowiem stać się może, że znowu braknie miejsca.

Przedewszystkiem więc wspomnieć należy o przygotowaniach do wesołego spędzenia świąt.

W pierwszym więc rzędzie dołożyłem starań, by nie być pozbawionym przyjemności powolnego zatrzymywania się nikotyną i w czasie ostatniego „fasunka” w głównej trafice znalazłem się w ogonku, tym razem, nauczony doświadczeniem, w samym jego początku. Opatrzność była dla mnie łaskawą!... Dzięki uprzejmości panny Rózi i Zosi, którym na tem miejscu składam z głębi serca odczute podziękowanie, udało mi się zdobyć kilka cygar. Jak mnie to ucieszyło, zrozumie każdy, kto jest palaczem, nie mógł tego przecieć pojąć jeden z mych znajomych, nie używający nikotyny, alkoholu i t. p. Gdy ze swą zdobyczą pędziłem do domu z rozradowanem obliczem, spotkałem go pod arkadami Sukiennic. Widząc me rozanielenie, zapytał ciekawie:

— Cóż się stało?... Czy może dostał pan spadek po jakim wujaszku z Ameryki?... Przypnij się pan, spadła kamieniczka, nieprawdaż?..

— Kochany panie! — ja mu na to. — Raz spadł na mnie kawałek gzymsu z jakiejś kamienicy, ale cała kamienica nigdy.

— Jakż więc powód radości, gdy wszyscy się smucą?... Może pan wygrał główną premię na loteryi klasowej, bo to właśnie skończyła się piąta klasa?..

— I to nie! Czy pan pojmie, jaki ja jestem szczęśliwy? Mam pięć cygar „kuba” i to po normalnej cenie!

— I to pana tak cieszy?... Mój Boże, jak tym ludziom mało do szczęścia potrzeba!..

To rzekłszy westchnął, a ja nie starałem się nawet, by go przekonać, wiedząc, że to na nic się nie zda. Co taki potrójny, a może nawet i poczwórny abstynent może się znać na przyjemnościach dawnego żywota, chowając sobie wszystkie na przyszły.

„Paliwo” więc miałem, pozostało jeszcze oglądnięcie się za jakowemś światłem „papiu”.

Widocznie przecież Fortuna nie obróciła się do mnie w tym roku smutną twarzą, gdyż od jednej znacznej osoby otrzymałem dwukilowy bochenek prawdziwie przedwojennego chleba (ale nie przed wojną pieczonego!...), garnuszek masła i kawał sera, znanego u nas pod nazwą „Krowentaler”, a kosztującego już, dzięki Bogu, szesnaście koron za kilogram.

Tyle specyałów naraz i to gratis, to w czasach dzisiejszych dar prawdziwie książęcy, za który nie jeden sprzedałby swe przekonania najświętsze, ale nawet i pierworództwo. Ale po kronikarzu coś podobnego się nie pokaże, zwłaszcza, że nikt tego od niego nie wymagał.

Gdym o tem opowiedział znajomym, wierzyć nie chcieli, gdym im te skarby aprowizacyjne pokazał, oblizywali się w milczeniu i posądzają mnie, że mam dobra na Ukrainie. Oby to tylko nie doszło do uszu pana inspektora podatkowego, gdyż nie chciałbym wcale, by i on mi „wysoko szacował”.

Wszystko więc tak się pięknie złożyło, że mógł człek bardzo przyjemnie spędzić Zielone Święta na łonie matki natrny, choćby na Bielanach, Panieńskich Skalach lub Skorniku, niestety, z powodu braku siły pociągowej, jak to już poprzednio zaznaczyłem, skończyło się wszystko na projekcie.

W niedzielę po obiedzie zjadłem sobie na deser kawałek chleba z masłem i serem, potem zapaliłem znowu „Kuba”, położyłem się na kanapie i puszczałem dymki pod stfit, wmawiając w siebie, że widzę koło siebie bielańskie dęby i buki, z których kto wie, czy nie jeden liść właśnie się w tem cygarze nie mieścił. Z sąsiedniej kamienicy dochodził głos gramofonu, wygrywającego *rach-ciach-ciach*, złudzenie było więc zupełne, że jestem na Bielanach, gdzie w samej rzeczy w tej chwili mój duch się błąkał. Weronika wyszła na nieszpory, córki do przyjaciółki, ja marzyłem, aż sen skleił mi powieki.

Jak długo stan ten trwał, tego nie wiem, wiem tylko, że śniło mi się, że dokoła mnie, wzięwszy się za ręce, zaczęły zawrotny jakiś taniec karta chlebowa z tytoniową (poznałem ją po zapachu...). Ruch ten udzielił się widocznie i memu ciału, znalazłem się bowiem na ziemi, dziękując Bogu, że jestem w domu, a nie na Bielanach. Zupełnie co innego spaść z kanapy na podłogę, niż z Bielańskiej góry na gościniec i obudzić się... nieboszczykiem!..

Równocześnie zaczęło się chmurzyć i grzmieć, co mnie jeszcze mocniej utwierdziło w przekonaniu, iż dobrze zrobiłem, nie narażając siebie i rodziny na kaprysy niepewnej aury.

Skończyło się jednak tylko na strachu; deszczu, choć potrzebny, nie było, wobec czego wieczorem wybrałem się na plantacye na „ciąg jedwabników”. Jeżeli kto tego nie rozumie, to mu wytłumaczę, że tak nazywam przegląd naszej płci pięknej, używającej obecnie prawdopodobnie ze względu na ciężkie czasy, jedynie

jedwabnych okryć swych nroczych ciałek. Na tego rodzaju spacer wybieram się z zasady sam, aby nie narażać się na ciągłe strofowanie ze strony Weroniki.

— Już łypiesz za nią oczami? — pyta, gdy tylko spojrzę najniewinniej w stronę której białogłowy.

Albo też odzywa się z przekąsem:

— O!... Jak mu się oczy świecą!... Jak kotowi w marcu... Ja wiem, że ci się te jedwabie podobają... Ja, niestety, nie mogę sobie na taki zbytek pozwolić!

Wiec ja jej znów na to:

— Moja droga!... Mlszą mi jesteś w swym perkaliku lub zwykłej pice, niż tamte w jedwabkach!..

Taka zaś prawda tryska mi wówczas z oczu, że ona wierzy i na tem kończy dyskusję.

Na plantacyach rzeczywiście prawdziwe zatrzesienie przedstawielek płci nadobnej szumiących jedwabiami i woniejących młodością i perfumami. W kawiarniach też ich pełno, choćby więc człowiek był z drzewa lub z żelaza, a nawet z nieczystego na żadne obce wpływy betonu, nie zaś z wrażliwego ciała, musiałby uczyć jakieś przyjemne dreszczyki. I ja jestem człowiekiem, jak każdy inny czaiłm na piękno, ale mam też i swój rozum, który mi powiada:

— Dai spokój, bo to się może nie podobać Weronice!.. Zostaw sobie to zresztą na czas, gdy ona wyjedzie na świeże powietrze!..

I ten głos rozsądku zwycięża, nie rozglądam się na boki, ale, patrząc prosto przed siebie, dążę ku domowi, gdzie czeka już na mnie cała rodzina, zgromadzona przy jadalnym stole. Niechaj jednak kto przy padkiem n'e myśli, że pozwalamy sobie na taki zbytek, jak jedzenie kolacji. Broń Boże!.. Gromadźmy się tutaj tylko ze zwyczaju, by się podzielić wrażeniami z dnia całego.

Obchodzenie się bez kolacji jest bardzo wskazane ze względu na zdrowie. Jeśli się kładzie na spoczynek z czczym żołądkiem, ma się sen lekki i nie trapią człeka w nocy nieprzyjemne widziadła. Aby przecież członkowie rodziny mieli za tę abstynencję pewną rekompensatę, wyznaczyłem dla każdego, kto się kolacji wyrzeka, premię w wysokości jednej korony, płatnej w gotówce. Zyskuje na tem budżet domowy, gdyż rano, kto chce jeść śniadanie, musi ową koronę złożyć do domowej kasy. W każdym razie bodaj przez noc cieszył się, że jest jej szczęśliwym posiadaczem, raczej posiadczą, prócz mnie bowiem i starego kawalera, innych przedstawicieli płci męskiej w domu niema, a my obaj w tym wypadku w grę nie wchodzimy.

Tak więc spędziłem pierwszy dzień Zielonych Świąt, a zupełnie podobnie i drugi, pocieszając się chyba tylko tem, że po wojnie, jeśli ona się wogóle kiedy skończy, będzie się można zabawić i weselej i przyjemniej, niż na to obecne stosunki pozwalają.

Jako kronikarz, rejestrujący pilnie wszelkie przejawy życiowe, nie mogę pominąć milczeniem ważnego zdarzenia, które świadczy bardzo dosadnie, jak nie którzy Krakowianie poważnie zapatrują się na sytuację obecną.

Od kilku dni słyszy się ciągle tu i ówdzie:

— A to, panie, nowość!

— Cóż takiego?... Może pokój zawarto?

— Nie!... Mamy kawior z Ukrainy!... Słyszałem to od osób, które go już jadły!... Nie mogę się jednak dowiedzieć, gdzie go dostać, bo o cenę mniejszą!... Pan łaskawy nie mógłby mi w tym kierunku poinformować?

— Bardzo żałuję, ale nie mogę służyć informacją.

— W takim razie żegnam. Boję się, by go tym czasem nie rozkupili. Byłem już w pięciu sklepach, obejdę jeszcze pozostałe, a w kawiarniach muszą mieć.

Niechaj kto nie myśli przypadkowo, że to żarty. Jest to najprawdziwsza prawda, że w czwartym roku wojny, gdy większość ludności kłopotce się tem, co weźmie do ust, by z głodu nie umrzeć, lub czem okryć gołą czelusną swoją i swej najbliższej rodziny, są jednostki, którym do szczęścia brakuje tylko... kawioru!

Specyał ten znalazł się podobno w samej rzeczy w handlu, ale po cenach tak wygórowanych, że na taki wydatek byle kto pozwolić sobie nie może, ale znowu jedynie dostawcy, aprowizatorzy, paszarze i podbijacze cen, ci najszcześliwsi dziś ze szczęśliwych.

Co ich to obchodzi, że innym brak codziennego chleba, oni łamią sobie nad tem głowę byle tylko dostać kawioru. Niech kosztuje co chce, ale musi być!

Jestem pewny, że wiadomości o zawarciu pokoju nie narobiłyby w Krakowie takiego rumoru, jak po jawienie się... kawioru.

Alle trudno!... Niektórzy ludzie mają obecnie stanowczo za wiele pieniędzy i w tem ich jedyna troska, na co je wydać. Ponieważ zaś „maciek” jedynym ich ideałem i celem życia, nic dziwnego, że go maszczą kawiorom, który, jak twierdzą, usposabia umysł do szlachetnych czynów.